



Troll

Emilia Rejner



Ofnir Andsaga, heidr Klanu Fjalloga, dumał długo, a gdy wreszcie podjął decyzję, odetchnął głęboko i spojrzął kolejno na każdego ze swych myśliwych zebranych w głównej sali Chaty.

– Zorganizujemy polowanie – zahuczał tubalnie.

Postanowienie nikogo nie zdziwiło. U bjortari, ludzi gór, łowy były powszechną formą celebracji znaczących wydarzeń. Ofnir jednak jeszcze nie skończył.

– Zorganizujemy polowanie – powtórzył, głęboko nabierając powietrza – na niedźwiedzia.

Renn Ava Brodhirst, jeden z łowców, ryknął śmiechem. Po chwili, gdy uzmysłowił sobie, że jego przywódca, przewodnik jego klanu nie żartuje, uśmiechnął się szeroko, szczerząc zęby.

O, to niewątpliwie będą łowy godne narodzin małego Trolla!

Chłopiec, który przyszedł na świat przed tygodniem, był pierwszym synem Andsagi i tak naprawdę miał na imię Gyrvar, co znaczyło – łowca niedźwiedzi. Skoro jednak póki co był mały, łysawy i niezmiernie pomarszczony, Renn na własną rękę przechrzcił go na Trolla – przy czym, co jasne, nie nazywał tak młodego w obecności jego ojca. Chłopiec może i nie był dziedzicem Ofnira – o tym, czy faktycznie zostanie kolejnym przywódcą klanu miały zdecydować jego czyny, nie pochodzenie – niewątpliwie jednak był jego dumą. A dumy Andsagi nie warto było wystawiać na próbę, bo Ofnir wpadał w rozdrażnienie łatwo i szalenie szybko. Postawny woj o wiecznie naburmuszonej minie – rzadko kiedy oddającej jego faktyczny nastrój, na co dzień bowiem mężczyzna był człowiekiem raczej wesołym – wyrażał swe niezadowolenie równie dobitnie i głośno, jak swą radość podczas klanowych biesiad. Renn, choć wybuchów swego heidra raczej się nie obawiał i potrafił przyjąć je na swą szeroką klatę berserka, mimo wszystko nie uważał, by wywoływanie ich było mądre. Ofnir Andsaga,





tak jak i Brodhirst, był berserkiem. Szanowanym i nieco porywczym, tym, co to pierwszy rzuci się na wroga, by wykąpać się w jego krwi i zjeść jego serce. Zrozumiałe więc, że takich jak on lepiej było mieć po swojej stronie.

Rozbawienia jednak Renn nie krył.

- Na niedźwiedzia - powtórzył ni to jako stwierdzenie, ni pytanie, spoglądając na Ofnira z przekornym uśmiechem. Myśliwi z prawej i z lewej, tłoczący się między szerokimi ławami i centralnym paleniskiem, spoglądali na Andsagę z dużo większą powagą i zaniepokojeniem.

- Na niedźwiedzia - potwierdził heidr spokojnie. Odruchowo potarł bliznę przecinającą lewą stronę jego twarzy od kącika oka po wargi. - Na gyrdira, konkretnie rzecz biorąc.

Brodhirst parsknął cicho. Jakby mieli tu w okolicy jakieś inne niedźwiedzie! Mówiło się wprawdzie, że kiedyś surowe masywy Pasm Euxaniru były domem także dla innych gatunków - małych, roślinożernych uvi i wielkich, wszystkożernych - dawno jednak nikt już ich nie widział. Duże, drapieżne, brunatne gyrdiry były jedynymi z rodziny, które wciąż doskonale sobie radziły w tutejszych górach.

Ofnir, co jasne, doskonale o tym wiedział. Renn też wiedział, że Andsaga wie - i że po prostu jest złośliwy, wskazując palcem oczywistość. Brodhirst uśmiechnął się szerzej.

Heidr odetchnął po raz kolejny.

- To polowanie - kontynuował myśl, rozpierając się w masywnym siedzisku na podwyższeniu. Fotel heidra nigdy nie należał do szczególnie wygodnych. Wymoszczenie go futrami niewiele w tej kwestii zmieniało. - To polowanie będzie ważne. I ma się udać.

Któryś z myśliwych westchnął odrobinę zbyt głośno, by mogło przejść to niezauważenie. Ofnir parsknął cicho.

- Ma się udać - powtórzył z premedytacją, świdrując swych łowców uważnym spojrzeniem - bo to polowanie dla mojego syna.

Wszystko co najlepsze dla małego Trola, pomyślał Renn i uśmiechnął się przekornie. Stojący obok myśliwy spojrzął kątem oka na berserka i pokręcił głową z rezygnacją. Kruczowłoty, wielki jak góra Brodhirst był świetnym wojem, jednym z lepszych i równie doskonałym myśliwym, trudno było jednak nie odnieść wrażenia, że czasem brakuje mu instynktu samozachowawczego. Że gdzieś po drodze, między wiekiem dziecięcym a nastoletnim, coś się w Rennie zepsuło, nie rozwinęło jak należy i w efekcie z chłopca wyrósł mężczyzna postawny, silny, przystojny i zdolny, ale jednak jakiś taki... Niepełny. Czasem może po prostu głupi.

Nikt jednak nie myślał tak o nim naprawdę. Brodhirst był szalenie inteligentnym i dobrym człowiekiem, jego brawura nijak tego nie zmieniała.





- W związku z tym, że nie dopuszczam możliwości porażki... – kontynuował tymczasem Ofnir, zmierzając ku końcowi. – W związku z tym właśnie zdecydowałem, że odpowiedzialnym za całe przedsięwzięcie...

Och, pomyślał Renn.

- ...opiekunem i organizatorem, mającym zadbać o wszystko tak, bym nie znalazł nic, do czego mógłbym się przyczepić...

Och, na thynów, ja pierdolę, pomyślał Brodhirst, nagle pewien, że wstawiennictwo bóstw będzie mu niezbędne. Spojrzał na Ofnira. Już wiedział. Już *wszystko* wiedział.

- ...będzie Renn Ava Brodhirst. – Andsaga uśmiechnął się szeroko, sympatycznie i ciepło, Renn widział jednak w jego oczach ogień. Szalejące gorąco i te cholerne, błyskające fikuśnie iskry rozbawienia. *Bardzo proszę,* zdawało się mówić spojrzenie przewodnika, *bardzo proszę, moja gwiazdo. Wykaż się. Pokaż, na co stać to gorące serce, tę wyrośniętą dumę. Spraw, żebym się bawił. Żebym bawił się tak zajebiście, jak nigdy w życiu. I żeby mój syn – MÓJ SYN – miał zapewnione powodzenie i wsparcie thynów na resztę swojego życia. Nie wątpię, że to potrafisz, mój wspaniały berserku.*

Renn uśmiechnął się szeroko, łaskawie skinął głową.

- Jak sobie życzysz – zgodził się, jakby miał jakieś inne wyjście. – To będzie niezapomniane polowanie, zadbam o to.

O, żebyś wiedział, że zadbam. Zadbam jak cholera.

Potem, gdy myśliwi zostali odprawieni do swych zajęć, Renn Ava Brodhirst rozsiadł się na szerokich, miejskich murach i myślał, przy czym wcale nie od razu o polowaniu.

Pozwolił sobie na chwilę zadumy, o którą nikt by go nie podejrzewał i moment melancholii, o którą posądzano by go jeszcze mniej. Wrócił do czasów dzieciństwa, do tego, kim był i jaką drogę musiał przejść, by znaleźć się w tym miejscu. Mały, wąty, szalenie nieproporcjonalny, nie zapowiadał się na woja ani nawet, szczerze mówiąc, na szczególnie wprawnego myśliwego. Siedział w książkach tyleż samo, co w salach treningowych klanowego domu ćwiczebnego, a literatura bawiła go równie mocno, co wymachiwanie krótkim mieczem czy toporem. *Mały artysta,* zaczęto o nim mówić, gdy po raz pierwszy zachwyił się sztuką wędrownego teatru, którą obejrzał kiedyś z ojcem w Etallarze i gdy zapragnął napisać coś własnego, jakąś książkę, przedstawienie, może pieśń. Napisać... Renn parsknął cicho. Słowo pisane w społeczności bjortari nie było tak ważne. Większość nie potrafiła czytać, o pisaniu nawet nie wspominając. Prostymi symbolami zaznaczano jakieś informacje handlowe, jakieś ceny czy przebieg transakcji, ale tak poza tym – niewiele. Niektóre rzeczy rysowano – jak mapy czy proste szkice taktyczne – ale i to nie było powszechne. Tradycja bjortari była tradycją mówioną. A on pragnął pisać. On, dzieciak o wybujałych marzeniach, esteta, wydawałoby się – zbyt delikatny, by przetrwać w surowym Euxanirze.





To, oczywiście, nie było prawdą. Nie był zbyt delikatny ani zbyt wrażliwy i dobrze wiedział, że nie zostanie artystą. Zresztą, długo przecież w ogóle nie było wiadomo, kim zostanie, kim będzie mógł zostać. Był synem skyrmy, już przez to miał przejebane. Rytualiści, kapłani politeistycznej wiary bjortari, nie powinni się przecież mnożyć, nie powinni mieć rodzin ani nikogo, na kim mogłoby im zależeć bardziej niż na reszcie klanu. Nie było tajemnicą, że niektórym ze skyrmów trzymanie się tych reguł nie do końca wychodziło, że stawiali wszystko na jedną kartę i liczyli, że jakoś to będzie. Nie było to jednak pochwalane. Nigdy. Nawet, gdy jednemu czy drugiemu udało się pogodzić obowiązki wiedzącego z byciem mężem, żoną, ojcem czy matką, nikt nie patrzył na to przychylnie. Nie skreślano ich, nie skreślano także ich potomstwa, ale też nie pomagano im zanadto. Na każdym kroku sami musieli udowadniać, że sobie radzą.

Ojciec Renna sobie radził, sam Renn zresztą także. Fizycznie wątpliwy, był silny charakterem. Musiał być, przecież nawet nie miał pełnej rodziny. Jego matka zmarła, gdy był mały. Jakaś choroba, tak mówił ojciec. Brodhirst niewiele pamiętał, ale też nigdy za bardzo nie starał się sobie przypomnieć. Bał się, że gdy zacznie się zastanawiać, wróci smutek, który z takim trudem w sobie zdusił.

Zmienił się nagle. Wątpliwe ciało nagle wystrzeliło w górę, nabrało masy i kształtów godnych wojownika. Rysy twarzy wyostrzyły się, mięśnie, o istnienie których nikt by Renna nie podejrzewał – choć ten wiele czasu spędzał na przepychankach i ćwiczeniach z rówieśnikami, jego ciało jakby opierało się przeobrażeniu w bardziej męskie – nagle uwydatniły się pod ogorzałą skórą. W grzywie kruczonych włosów pojawiły się pierwsze ozdoby – drobne kły górskich lisów, pióra ortów, warkoczyki z sierści fjalloga – a na żuchwie pierwszy zarost.

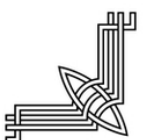
Do unaroku, rytuału dojrzałości, podchodził mając szesnaście lat i zadatki na wprawnego woję, którym w efekcie rzeczywiście został. Uznany za dorosłego, już kolejnego dnia rozpoczął oficjalne szkolenie w domu ćwiczebnym. Był dobry. *Świetny*. Starsi wojowie chwalili go, że ma zwierzęce zmysły, instynkt drapieżnika. Szybko się uczył, a jego ciało wreszcie poddało się rzeźbieniu przez wysiłek. Stał się podobny do ojca, jego brata i do swego dziadka. Jak oni był wysoki, postawny, miał też ten sam ostry, uważny, pełen inteligencji błysk w spojrzeniu.

W końcu uznano go za godnego miana berserka, bo niewielu wojów mogło się z nim równać. Był dumny, ambitny i gotów na bardzo wiele. Czasem aż nazbyt odważny, ale to też było ważne. Tacy też byli potrzebni.

Renn Ava Brodhirst został wojem i myśliwym, którego klan nie mógł nie cenić.

Teraz znów miał pokazać, co potrafi i nie miał wątpliwości, że sobie poradzi. Tylko może nie do końca tak, jak Ofnir by sobie życzył. Wydawałoby się, że Andsaga miał dosyć czasu, by nauczyć się, że Brodhirstowi nie rzuca się takich wyzwaniań.

* * *





Renn rozdzielił obowiązki od razu po opuszczeniu Chaty. Wybrał myśliwych, którzy mieli upewnić się, że łowiecka broń jest w wystarczająco dobrym stanie i tych, którzy mieli zająć się zbudowaniem pułapki na niedźwiedzie – igloo, jak zwykł ją nazywać, choć z prawdziwym igloo niewiele miała wspólnego. Ofnir wprawdzie zażyczył sobie, by polowanie było widowiskiem, by było imponujące i godne prawdziwego wojownika – a więc by stanąć naprzeciw gyrdira twarzą w pysk, a nie zapędzać go w miejsce, z którego zwierzę nie mogło uciec – Renn uważał jednak, że plan awaryjny im nie zaszkodzi. Jeśli heroiczne zmagania Andsagi miałyby się nie udać, dobrze byłoby mieć gdzie dokończyć łowy.

Tradycyjna pułapka bjortari była drewnianą budowlą o kształcie stożka z równo ściętym wierzchołkiem, sięgającą częściowo w głąb ziemi. Miała w obwodzie około pół metra, czasem więcej, a jej zachowane ściany wznosiły się na wysokość zależną od wielkości niedźwiedzia, na którego polowano. Wejście pułapki zaopatrzone było w mechanizm blokujący przejście gdy tylko zwierzę znalazło się w środku, zwabione rozłożoną wewnątrz przynętą, a otwarty dach zapewniał najpierw dopływ powietrza dla schwytanego zwierzęcia, potem zaś – możliwość zaktucia niebezpiecznego drapieznika z góry, bez zbytecznego narażania się. Czasem też, gdy z jakiegoś powodu życzone sobie, by niedźwiedź żył dłużej, z góry można było podawać mu także jedzenie i picie.

Polowanie z wykorzystaniem pułapek może nie było szczególnie honorowe, ale, zdaniem Renn, honor po śmierci nikomu się tak naprawdę nie przydaje. Wierzenia w thynów nie były Brodhirstowi obce, podobnie jak wszyscy znał opowieści o biesiadnym stole Eyjavada i niekończących się, chwalebnych bitwach u boku Flotha, jakie miały czekać na wystarczająco godnych – mężczyzna jednak nie przywiązywał się do nich zanadto. Co ma być, to będzie, zwykł twierdzić, jednocześnie powtarzając, że jeśli to ma zależeć od niego, woli umrzeć ze starości niż w heroicznej walce z człowiekiem czy zwierzęciem.

Teraz Renn miał sześćdziesiąt trzy lata i, jak na standardy bjortari, znajdował się zaledwie w pół drogi do starości.

Po tym, jak wyznaczył zadania, do zrobienia pozostało jeszcze jedno, najważniejsze – znalezienie zwierzęcia. Oczywiście, Brodhirst mógł wystać tropiciela bądź dwóch, klan miał wystarczająco wielu dobrych myśliwych, by poradzili sobie z wypatrzeniem odpowiedniego gyrdira i wskazaniem, gdzie najlepiej będzie go osaczyć. To polowanie miało być jednak specjalne. Imponujące. Godne małego Trolla.

Wybranie ofiary Renn pozostawił sobie.

* * *

Tropił niedźwiedzia cztery dni. Opuszczał Asundgran, klanową osadę, o świcie i wracał tuż po zmierzchu, brudny od pyłu i błota zalegającego na górskich ścieżkach. We włosach nierzadko miał wplątane igły, a suche





liście z uporem czepiały się jego myśliwskiego stroju. Robota tropiciela nie była łatwa ani, szczerze mówiąc, tak przyjemna jak próbowało się przedstawiać ją w opowieściach. Była brudna i wielokrotnie niewdzięczna, bo natura miała to do siebie, że czasem po prostu nie chciała współpracować. Teraz jednak, kucając na skale i spoglądając ze wzgórze na górę brązowego futra buszującego na polanie poniżej, Brodhirst wiedział, skąd brały się te wszystkie piękne historie. Chodziło o satysfakcję. Nie było większej niż ta, gdy twój wysiłek przynosił wreszcie wymierne efekty.

Renn wiedział, że po zakończeniu polowania, on sam będzie usatysfakcjonowany bardziej niż ktokolwiek inny.

Plan miał prosty. Wymagał wprawdzie odwagi, ale tego akurat mężczyźni nigdy nie brakowało. Poza tym nie uważał, by tak naprawdę bardzo ryzykował. Gyrdiry nie były aż tak straszne, jak się mówiło. Te wszystkie historie o niedźwiedziach rozszarpujących nieszczęsnych podróżnych, co to nieopatrznie zbczyli ze szlaku tam, gdzie nie trzeba – Renn wiedział, że to może się zdarzyć, ale wiedział też, że zdarza się niezwykle rzadko. Takimi opowieściami straszy się dzieci, by zakorzenić im respekt do Pasm Euxaniru, ale on był już wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że to tak nie wygląda. Nie do końca. Że wystarczy odrobina rozsądku, by poradzić sobie w surowych górach i nie stracić przy tym, na przykład, kończyny. Tak myślał.

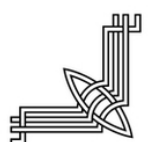
Brodhirst był rozsądny. Przynajmniej trochę. Był też odważny. W tej chwili potrzebował i jednego, i drugiego.

Oddechnął głęboko i wyprostował się z leniwym uśmiechem. Już wcześniej dostrzegł całkiem wygodne zejście w dół, którym teraz bez wahania ruszył po zboczu wzgórze, przytrzymując się skalnej ściany sąsiedniego szczytu. Kilka kamyków potoczyło się spod jego stóp, objając się od zmarzniętej ziemi i turlając aż na polanę, zwracając uwagę gyrdira. Renn nie przejmował się tym jednak. Przecież i tak chciał zainteresować zwierzę.

Gdy od niedźwiedzia dzieliło go jeszcze kilka ostatnich kroków, mężczyzna zsunął z ramienia myśliwski worek i, poluzowując grube wiązania, pogrzebał w nim chwilę. Gdy ponownie wyciągnął rękę z plecaka, trzymał w niej kawał surowego, koziego mięsa, zmrożonego trochę, ale wciąż świeżego.

Niedźwiedź powęszył wyraźnie, obracając masywne cielsko w kierunku Renn'a i zadzierając łeb nieco ku górze. Pochrzążując gardłowo, ryknął krótko, jakby pytająco i na moment uniósł się na dwie łapy, nie do końca pewien, czy to już dobry moment, by spróbować wyrwać mięso dla siebie.

Spoglądając na zwierzę przez kilka chwil, mężczyzna musiał przyznać, że to może jednak nie do końca bajki. Że Ylvor, kaleki myśliwy klanu, może rzeczywiście stracił rękę, gdy podczas polowania nieopatrznie natknął się na niedźwiedzią gawrę. I że Svenna, teraz już studwudziestoletnia, a niegdyś – niemal bogini łowów – że może naprawdę spotkała kiedyś bestię, gigantycznego gyrdira o ślepiach jasnych jak słońce,





i że może walczyła z nim, wynosząc z walki znaczne rany i złamany kięł drapieźnika. Może to nie tylko opowieści, które wspomina się przy ogniskach, nie pamiętając już, jak było naprawdę. Może nie.

Z drugiej strony jednak...

Brodhirst uśmiechnął się szeroko.

- Mówiłem - mruknął przekornie z zadowoleniem, dając spokój rozważaniom i lekką ręką spychając historie tam, gdzie ich miejsce - w sferę wyobraźni i przerysowanych wspomnień. Nie zamierzał się zanadto przejmować. Nie zamierzał się bać opowieści, dopóki te nie zaczną dziać się na jego oczach. Złęknie się, gdy to jemu zacznie grozić utrata ręki.

Gyrdir ponownie opadł na szerokie łapy i zakotysał się lekko.

- Mówiłem, że nie jesteście wcale takie straszne - powtórzył Brodhirst beztrąsko, chwytając pewniej zimny kawał mięsa.

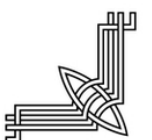
Niedźwiedź zawarczał nisko, chrapliwie, świdrując Renną małymi, czarnymi oczkami. Wreszcie ruszył, najpierw powoli, ociężale, potem zaś truchtem. Zwały tłuszczu podskakiwały i falowały komicznie, gdy zwierzę przyspieszyło kroku.

Renn uśmiechał się z rozbawieniem.

* * *

Zebrałi się na miejskim placu zaraz po wschodzie słońca. Był Renn jako organizator, była grupa myśliwych wybrana przez Andsaę i był, oczywiście, sam Ofnir. Wszyscy w prostych, łowieckich skórkach i z bronią - oszczepami o wąskich ostrzach, krótkimi toporkami, szerokimi nożami do oprawiania zwierzyny, z linami i siecią, której prawdopodobnie nie mieli tym razem użyć, ale którą zawsze ktoś brał *dla pewności*. Było bardzo wcześnie. W normalnych okolicznościach miasto dopiero budziłoby się, teraz jednak niemal cały klan był już na nogach, spragniony widowiska. Choć na łowy wyruszyć mieli jedynie wybrani myśliwi, wokół przygotowującej się grupy kottował się tłum. Nie było mowy o spokojnej ciszy wczesnego poranka - gwar rozmów rozbrzmiewał na samym placu i w przyległych uliczkach, bjortari śmiali się i dyskutowali, podekscytowani nadchodzącymi wydarzeniami. Nie było pewności, czy wszyscy wrócą z tych łowów cało, ale to tylko dodawało polowaniu pikanterii. Ludzie z jednej strony bali się o swych bliskich i przyjaciół, z drugiej jednak nie mogli się doczekać powrotu triumfujących łowców i, jak liczyli, późniejszej biesiady.

Gdy myśliwi opuszczali miasto, z Ofnirem dumnie kroczącym na czele, żegnały ich radosne okrzyki, szczere życzenia powodzenia i żartobliwe dogryzanie.





Około godziny wcześniej miasto opuściła dwójka samotnych tropicieli, mających zająć się rozpoznaniem. Bazując na wskazówkach Renna, mieli sprawdzić, gdzie aktualnie przebywa gyrdir i ostrożnie zapędzić go na wyznaczoną polanę – wystarczająco dużą, by łowcy mieli gdzie odskoczyć w razie szarży rozdrażnionego zwierzęcia, zbyt małą jednak, by sama ofiara mogła się na niej swobodnie przemieszczać.

Wypatrzenie gyrdira nie zajęło wiele czasu. Gdy myśliwi opuścili Asundgran, tropiciele już na nich czekali.

– Gruba, leniwa dupa – rzuciła bezceremonialnie Yna, jedna z tropiących, zapytana o zwierzę. Poprawiła rozczochrane, niemal białe włosy zamaszystym zagarnięciem ich do tyłu i odetchnęła cicho. Usiane jasnymi piegami policzki kobiety były teraz zaczerwienione od wysiłku, a bładoniebieskie oczy skrzyły się iskrami rozbawienia i entuzjazmu. – Ale ładna. Duża. Puszysta.

Isvyn, drugi z tropicieli, uzupełnił obraz o wiek zwierzęcia – na oko czterdzieści, może pięćdziesiąt lat, co czyniło z niego bestię w kwiecie wieku – i cechę charakterystyczną w postaci nieregularnego, jaśniejszego przebarwienia na prawej łapie. Chcąc opisać gyrdira równie obrazowo, jak jego towarzysza, przedstawił go jako górę mięśni i tłuszczu. Dopytani o wrażenia, obydwójce z pełnym przekonaniem stwierdzili, że to dobra ofiara i satysfakcjonujące wyzwanie.

Ofnir skinął głową, zadowolony, a Renn uśmiechnął się przelotnie. Andsaga jeszcze nie wiedział, jak wspaniałe będą to łowy.

Ruszyli za tropicielami, najpierw heidr, za nim Brodhirst, potem, w rzędzie, pozostałych sześciu myśliwych. W pewnym momencie rozdzielili się – Ofnir i trzech łowców podążyło za Yną wąską ścieżką w prawo, tuż przy skalnej ścianie, pozostali zaś za Isvynem zaczęli przedzierać się przez gęste zarośla po lewej stronie wyraźnie wydeptanego szlaku. Spotkali się ponownie kilka chwil później, przyczajając się z dwóch stron tej samej, porośniętej ostrą trawą i drobnymi kwiatkami polany.

Zgodnie z zapewnieniami tropicieli, gyrdir już tam był.

Zwierzę rzeczywiście było ogromne. Ponad dwa metry w kłębie czyniły z niego może nie największy znany okaz, ale wystarczająco duży, by polowanie było wyzwaniem. Masywne cielsko porośnięte było gęstym, brunatnym futrem, z wyraźnym jasnym przebarwieniem opisanym wcześniej przez Isvyna. Szerokie łapy kończyły się długimi na ludzką dłoń, grubymi pazurami, a pysk pełen był ostrych, zażółconych zębów. Niedźwiedź ziewnął w którymś momencie, szeroko rozwierając mordę, a Yna wskazała na jeden kieł zwierzęcia, złamany mniej więcej w połowie.

Ofnir obserwował gyrdira przez dłuższą chwilę. Potem odetchnął głęboko i wyprostował się, dając myśliwym znak do opuszczenia kryjówek. To nie miało być podstępne polowanie z zaskoczenia, lecz honorowa, sprawiedliwa walka. Ryzykowna, oczywiście, dla niektórych być może aż za bardzo, Andsaga wiedział jednak, że





nie zjedna sobie przychylności thynów lepiej, jak heroicznymi zmaganiem z drapieżnikiem. Zapędzanie zwierzęcia w pułapkę nigdy nie bawiło bogów tak, jak ryzykowanie życiem, wszyscy to wiedzieli.

Niedźwiedź wyczuł ludzi już wcześniej, teraz zaś, gdy pojawili się w zasięgu wzroku, łypał na nich czujnym spojrzeniem małych, czarnych oczek. Kołyszając się na szerokich łapach, rozglądał się na boki, jakby oceniając stopień zagrożenia. Dziesiątka bjortari przeciwko jednemu zwierzęciu nie była wcale tak wielką przewagą, na jaką mogła wyglądać. Gyrdiry, choć mogły wydawać się ociężałymi i nieporadnymi, były szalenie niebezpieczne i głupotą byłoby dać się zwieść pozorom.

W którymś momencie niedźwiedź uniósł się ciężko na dwie łapy, pochrząkując i porykując gardłowo. Gdy tak stał, balansując masywnym cielskiem i wężąc głośno, wydawał się być jeszcze większy niż w rzeczywistości. Bjortari spoglądali na niego przez moment jak zaczarowani, podziwiając imponujące zwierzę.

Ostatecznie to gyrdir przejął inicjatywę. Po kilku dłuższych chwilach zastanawiania się, co powinien zrobić najpierw – i czy w ogóle cokolwiek, czy w ogóle powinien przejmować się tymi wątlami, otaczającymi go stworzeniami – wreszcie opadł na cztery łapy i ruszył przed siebie, rycząc nieco głośniej. Potrząsając tłem i kołyszając gęstą kryzą sierści na barkach i szyi, truchtał coraz szybciej, nie spuszczać oka z wybranego łowcy.

Z Ofnira. Warcząc i chrząkając ostrzegawczo, gyrdir szarżował prosto na Andsaę.

Renn uśmiechnął się szeroko, nikt jednak tego nie widział.

Myśliwi nie mieli zbyt wiele czasu, by zareagować. Heidr zdążył pewniej zacisnąć dłoń na włóczni, stojący obok niego łowcy rozbiegli się na boki, by móc okrążyć atakującego drapieżnika, pozostali myśliwi biegli w jego kierunku krzycząc głośno i machając rękami, by zwrócić na siebie uwagę zwierzęcia.

W ostatniej chwili jeden z łowców wystąpił z okrzykiem na przód. Gyrdir ryknął w odpowiedzi, nagle zmieniając kierunek.

Impet, z jakim wpadł na myśliwego – Jofara, przypomniał sobie Renn – zbił mężczyznę z nóg i przeczołgał po zmarzniętej ziemi. Niedźwiedź ryknął głucho, a gdy tuż obok przefrunął niecelnie rzucony oszczep, sapnął jakby z frustracją i podążył za przewróconym mężczyzną. Na innych myśliwych nie zwracał uwagi, a ci, wytrąceni z równowagi ignorancją zwierzęcia, jakby stracili całą swoją łowiecką wprawę. Później, po powrocie do miasta, żaden nie chciał wracać do przebiegu wydarzeń, a zapytani, odpowiadali ogólnikowo i wymijająco. Nikt nie chciał się przyznać, że uważając się za zdolnych myśliwych, gdy przyszło co do czego poradzili sobie raczej średnio.

Gyrdir ponownie uniósł się lekko na dwie łapy. W kolejnej chwili opadł z głuchym tąpnięciem na zmarzniętą ziemię, pochylając się nad skulonym myśliwym. Głośno wciągnął powietrze i zamruczał chrapliwie, świdrując łowcę spojrzeniem czarnych oczek.

Myśliwy szlochał, co potem sprytnie pomijał w swoich opowieściach.





- Kurwa mać! - ryknął Ofnir, przerywając wreszcie impas i wyrrywając do przodu, z dłońmi pewniej zaciśniętą na drzewcu włóczni. - Chuj nie myśliwi - podsumował bezpardonowo i, nie oglądając się na łowców, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Chodziło w końcu o jego syna. Nie mógł pozwolić, by thynowie odwrócili się od niego plecami tylko dlatego, że przyprowadził ze sobą bandę cholernych tchórzy.

Wtedy jednak, gdy Andsaga odważnie wypuścił się na gyrdira, gdy szykował się już do uderzenia na porośnięte grubą sierścią cielsko, gdy gotów był heroicznie zmierzyć się z bestią i zapobiec poharataniu własnego myśliwego przez uzbrojone w długie pazury, szerokie łapsk - wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Nikt poza Rennem, który ryknął wreszcie długo powstrzymywanym śmiechem, tubalnym, głośnym, nieskrępowanym.

Nie miało być żadnych łowów. Żadnej walki i przelewania krwi.

Andsaga patrzył i nie wierzył, podobnie pozostali.

Masywny gyrdir mruczał i chrząkał jeszcze chwilę, a gdy w końcu opuścił łapę, zrobił to tylko po to, by delikatnie szturchnąć uwięzionego pod sobą myśliwego raz i drugi. A potem, gdy mężczyzna wciąż szlochał, choć już przerywanie, mniej pewnie, nie wiedząc, co się dzieje, zwierzę sapnęło cicho, pochyliło łeb i otarło się o pierś łowcy, wreszcie zaś osunęło się połową swego zwalistego cielska na zdeorientowanego bjortari, otulając go warstwami ciepłej sierści i tłuszczu.

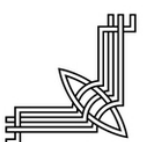
- Czy on... - zaczął Ofnir głosem rezonującym z napięcia, wciąż nie potrafiąc oderwać płomiennego spojrzenia od zwierzęcia przytulającego się do mężczyzny. Myśliwy przygwożdżony przez gyrdira zakaszłał i zacharczał, mając pewne problemy z nabraniem powietrza pod ciężarem drapieżnika.

- Czy to... - zaczął po raz wtóry Andsaga, próbując w jakikolwiek sposób sformułować choć jedną z kottujących się w nim myśli. W mężczyźnie wrzało, narastająca złość przypominała dudniący, grożący wybuchem wulkan, gotowy w jednej chwili ogrzać całą najbliższą okolicę i stopić śniegi zalegające na szczytach Euxaniru.

- To - odezwał się w końcu Renn, gdy uznał, że wysmiał się już wystarczająco i może przyjść Ofnirowi z odsieczą. - To jest Troll - przedstawił niedźwiedzia uczynnie.

Brodhirst zdawał sobie sprawę, że nie będzie mógł już zbyt długo używać tego imienia bezkarnie w stosunku do ofnirowego syna, nie widział więc powodu, dla którego nie miałby ochrzcić tak świeżo oswojonego gyrdira.

- Troll - wycedził Ofnir przez zęby. Andsaga nie był głupi i dobrze wiedział, że właśnie w taki sposób nazywali jego syna niektórzy myśliwi. Z drugiej strony, heidr nie był w stanie odmówić im pewnej racji. Nie zrobił tego, oczywiście, na głos, nie pochwalił ich za to, ale... Mały Gyrvan rzeczywiście nie należał do najbardziej urodziwych dzieci.





Łowcy milczeli, oczekując ostatecznego wybuchu wściekłości Ofnira. I Ofnir rzeczywiście wybuchł. Po przedłużającej się chwili ciszy Andsaga ryknął śmiechem.

– Troll, ja pierdołę – wykrztusił, a napięcie w jednej chwili ustąpiło. Łowcy zaczęli uśmiechać się najpierw nieśmiało, potem szerzej, wreszcie parskali na równi z heidrem.

Renn szczyrzył zęby, usatysfakcjonowany.

– Więc? – rzucił wreszcie Ofnir, skupiając uwagę na berserku. W spojrzeniu Andsagi znów błysnęła ostrość, ale nikt już nie traktował jej jako ostrzeżenia. Rozbawiony przewodnik nie był zagrożeniem.

– Oswoiłem go – zahuczał Brodhirst, uśmiechając się od ucha do ucha. Bez wahania podszedł do gyrdira, a ten, widząc znajomego człowieka, podniósł się z sapnięciem z rozpląszczonego myśliwego i otarł łbem o szeroką pierś Renną. Berserk podrapał zwierzę za uchem, a to chrząknęło zadowolone.

Zalegający na ziemi łowca nie podnosił się jeszcze przez chwilę, delektując się nagłą łatwością oddychania.

– Oswoiłeś go – parsknął Ofnir, spoglądając na Renną z niedowierzaniem. – W dwa tygodnie? – Dokładnie tyle czasu minęło od decyzji o polowaniu do ostatecznej organizacji wydarzenia.

– W dwa tygodnie – przytaknął Brodhirst z wyraźnym samozadowoleniem. – To nie było trudne. One są potulne i sympatyczne.

Jofar parsknął śmiechem, podnosząc się wreszcie z ziemi i otrzepując. Dyplomatycznie nikt nie komentował jego zaczerwienionych oczu i mokrych smug na policzkach.

Widząc wciąż pytające spojrzenia zebranych, Renn wzruszył lekko ramionami.

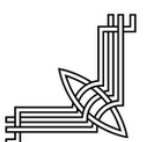
– Karmiłem go trochę i też byłem miły i sympatyczny – wyjaśnił.

Choć o tym zapominano, gyrdiry były gatunkiem łatwym do oswojenia i dosyć uległym. Z jednej strony wprawne, niebezpieczne drapieżniki zdolne powalić jelenia, z drugiej całkiem nieźle dogadywały się z ludźmi, jeśli tylko podejść je odpowiednio. Były łase na jedzenie, ale też na gesty czułości i troski. Jeśli tylko znalazł się odważny, by zbliżyć się do niedźwiedzia na wystarczająco niewielką odległość, okazywało się, że zwierzę to było takim psem. Tylko trochę większym. Trochę cięższym. I zdolnym bez trudu złamać ludzki kręgosłup, gdyby się zezłościło.

Ale gyrdiry złościły się rzadko. Wystarczyło nie szturchać ich tam, gdzie nie lubiły.

– I potulny? – zapytała tymczasem Yna, uśmiechając się przekornie. Gdy ochłonęła, była pierwszą, która bez wahania podeszła do Renną i z nieznacznym tylko wahaniem wsunęła dłoń w gęstą, ciepłą sierść niedźwiedzia. Westchnęła cicho. – Fajny – wyrwało jej się, bez związku z zadany przed chwilą pytaniem. – Taki miękki. Całkiem kochany.

Isvyn parsknął cicho, ale i on podszedł wreszcie, by pogłaskać łaszącego się olbrzyma. Chwilę później zaczęli ośmielać się także pozostali myśliwi, ostatecznie otaczając zwierzę ciasnym kółkiem.





Gyrdir mruczał i chrząkał zadowolony.

Wrócili do Asundgranu niepewni, jak przedstawić całą sytuację. Niedźwiedź podązał za nimi krok w krok i nie zawahał się nawet wtedy, gdy z daleka dało się dosłyszeć odgłosy żyjącego miasta. Przeszedł za myśliwymi przez bramę i dopiero na placu stanął zdeorientowany, spoglądając na tłum niepewnie. Oczekujący powrotu łowców zaniemówili, jak ucięte nożem urwały się prowadzone dotąd rozmowy.

Ofnir odetchnął głęboko.

– To – odezwał się wreszcie, głośno, tak, by wszyscy mogli go usłyszeć. – To jest Troll. Nasz gyrdir.

Potrzeba było ledwie chwili, by zebrani zaczęli śmiać się i wiwatować, i kolejnej, by znów ucichli, gdy Andsaga zażądał tego stanowczym gestem. Heidr wciąż nie był pewien, jak będzie reagował niedźwiedź, ale wołał nie przysparzać mu nadmiaru bodźców.

Po pierwszym szoku, gdy oswojono się z widokiem olbrzyma i uświadomiono sobie, że bestia nie przybyła tu polować, łowy szybko uznano za sukces. Nie taki, jakiego początkowo oczekiwano, ale jednak sukces. Nie było wątpliwości, że thynowie uśmiechnęli się do Ofnira i jego syna.

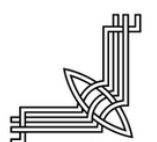
– To Urgoth – powiedział ktoś z przekonaniem. Urgoth, Przegrany, był patronem hazardzistów, złodziei, głupców i nieszczęśliwie poległych. – To musiał być on. To jego zawsze takie rzeczy bawią najbardziej.

Niektórzy pokiwali głowami. Inni, mniej przywiązani do totemicznych bóstw, z nagłym zrozumieniem spoglądali na uśmiechniętego szeroko Renną.

Tak czy inaczej, zwierzę zostało przy klanie. Nie w mieście, na to Ofnir nie zamierzał się zgodzić – pomijając nieufność, którą mimo wszystko żywił do drapieżnika, miał na uwadze także bardziej przyziemne problemy, jak konieczność wyżywienia niedźwiedzia czy zapewnienia mu wystarczającej dawki ruchu – lecz w jego pobliżu, wólcząc się po okolicznych górach i lasach. Co jakiś czas wspominano o gyrdirze spoglądającym na bjortari z daleka, i o charakterystycznym, jasnym przebarwieniu na prawej łapie zwierzęcia. Troll nigdy nie zaatakował nikogo z Klanu Fjalloga, choć, gdy na horyzoncie pojawiali się obcy z innych rejonów Heimareldu, zachowywał się jak każdy normalny niedźwiedź, rycząc ostrzegawczo i strosząc gęstą kryzę. Żył w pobliżu Asundgranu przez kolejne jedenaście lat.

A potem zniknął.

Nie od razu zauważono odejście Trolla, z czasem jednak coraz częściej mówiono, że dawno nikt go nie widział. Niektórzy próbowali odnaleźć niedźwiedzia, wyruszający na polowania tropiciele szukali znajomych tropów, jednak wszystkie, jakie znaleźli, były stare i wyraźnie pozacierane. Jeden z łowców odważył się zajrzeć do niedźwiedziej gawry, od dawna znanej jako legowisko klanowego drapieżnika, ale ta była pusta i zimna. Wreszcie stało się jasne, że gyrdir ostatecznie opuścił ich ziemie, być może odnajdując sobie partnerkę i przenosząc się w inne rejony Euxaniru, lub może w ogóle opuszczając góry na rzecz nadbrzeżnych równin





Heimareldu. O tym, że coś mogło mu się stać, że może zachorował, przegrał walkę z innym gyrdirem, że może poległ gdzieś w wśród górskich zarośli – o tym nikt starał się nie myśleć.

Smutek po odejściu rozwiął się w końcu i wyblakł. Tak, jak wcześniej przyzwyczaili się do obecności Trola, tak z czasem oswoili się z myślą, że gyrdira już nie ma. Nikt go jednak nie zapomniał, a opowieść o oswojonym drapieźniku stała się jedną z częściej powtarzanych przy wieczornych ogniskach.

Troll był członkiem Klanu Fjalloga, nic nie mogło tego zmienić.

